



AFGANISTAN



Pod jednym dachem z pasterzami

Jeszcze zanim dzień na dobre zagościł w Wachanie, ze snu wyrывa mnie przeszywający ból. Unoszę się na posłaniu i natychmiast zaczyna kręcić mi się w głowie, a skórę pokrywa zimny pot. Ból jest trudny do zidentyfikowania, bo rozchodzi się po całej jamie brzusznej. To musiała być woda z kanału nawadniającego lub melony u Malanga. Nie tylko przyjezdni borykają się z infekcjami układu pokarmowego, mieszkańcy Wachanu również, ponieważ warunki sanitarne pozostawiają wiele do życzenia. Brytyjski dyplomata Rodric Braithwaite w książce *Afgańcy. Ostatnia wojna imperium* o interwencji zbrojnej ZSRR opisuje, że ponad połowa żołnierzy Armii Radzieckiej przebywających w Afganistanie cierpiała na takie choroby zakaźne, jak żółtaczka, dur brzuszny, dyzenteria itp. Po kilkudziesięciu latach niewiele się zmieniło. Do gotowania nadal używa się wody z rzeki, która przepływa przez wyżej położone pastwiska.

Biorę garść pigułek osłaniających układ pokarmowy i popijam uzdatnioną chlorem wodą. Nakrywam głowę poduszką, chcąc jeszcze pospać, lecz bakterie zwyciężają. Czekaając, aż tabletki przyniosą mi ulgę, i żeby nie myśleć o chorobie, zrywam się z posłania wczesnym rankiem i biorę się do sprawdzania sprzętu górskiego oraz przepakowywania bagażu.

- Dzień dobry - słyszę głos Sayeda i pukanie do drzwi.

Zakładam pakol, owijam szyję musafidem i w afgańskim stylu witam gości. Schylam się na znak szacunku i przykładam prawą rękę do serca.

- *Salam alejkum.*

W drzwiach stoi mój nienagannie ubrany gospodarz, a obok niego – mężczyzna o surowych rysach twarzy. Ubranie ma zniszczone i brudne, wygląda tak, jakby ktoś właśnie wyciągnął go z kryjówki mudżahedinów gdzieś wysoko w górach. Za nim dwóch chłopaków trzyma osła za mocno pościerany kantar.

- Poznaj Amira, naszego raisa w Kazi Dehu. – Sayed wskazuje gestem mężczyznę z poorly zmarszczkami twarzy i zapadniętymi policzkami. – Znalazł dla ciebie odpowiednich ludzi, żeby bezpiecznie przetransportować twoje rzeczy do podnóża góry. Usiądźmy i porozmawiajmy.

Przy prostym śniadaniu złożonym z chleba i herbaty opowiadam Amirowi o swojej wizji zdobycia Noszaka. Tragarze mają mi pomóc dotrzeć do bazy i na kilka tygodni zostawią mnie samego. Trekking rozłożymy na trzy dni, żeby stopniowo pokonywać przewyższenie ponad dwóch tysięcy metrów. Po zejściu ze szczytu lub w przypadku nieprzewidzianych problemów przez telefon satelitarny wyślę wiadomość do Sayeda, a on zorganizuje mój powrót. Plan jest prosty. Pozostaje tylko go zrealizować.

Stawiam starannie spakowane wory transportowe na tarasie przed domem. Każdy waży dwadzieścia kilogramów. Tragarze momentalnie się ożywiają. Odrzucają wierzbowe witki, którymi z nudów kreślili coś na wyschniętej ziemi. Pokazuję im, jak regulować paski worków, żeby było wygodniej nieść, oni natomiast od razu objuczają nimi osła. Mocują torby na jego grzbiecie, zapierając się mocno nogami o zad, aż biedaczysko stęka. Kilka sprawnych ruchów, węzeł na zakrzywionym kołku i jesteśmy gotowi do wymarszu.

Podchodzę do moich nowych kompanów z wyciągniętą ręką.

- Łukasz.

- To jest Nawid, co oznacza „niosący dobre wieści”, a to Nirob, czyli „cichy” – tłumaczy Sayed.



Sklep w Kazi Dehu

Szybko orientuję się, że nie znają angielskiego. Ja w wachi też niewiele umiem powiedzieć. Wygląda na to, że pozostaje nam komunikacja niewerbalna. Ściskam dłoń Nawida i zauważam, że pod gęstą, opadającą na oczy czupryną kryją się bystre niebieskie oczy. Będzie dobrze.

Po wielu miesiącach przygotowań, wyczerpującej podróży przez Tadżykistan oraz przemknięciu przez pogrążony w konflikcie zbrojnym Badachszan wreszcie mogę skupić się na celu wyprawy.

Dostaję od Sayeda dwa miękkie chlebowe placki owinięte w syntetyczny materiał polipropylenowy, do złudzenia przypominający ten z bazarowych tureckich toreb. Chleb pachnie jak obietnica dobrego posiłku, co z pewnością docenię po całym dniu wędrówki z ciężkim bagażem. Wymieniam z Sayedem i Amirem ostatnie serdeczności i wreszcie wyruszam pod moją górę.



Wychodzimy z labiryntu uliczek na główną drogę, gdzie znajduje się sklep i, co ważniejsze, budka strażnika granicznego – ostatni punkt kontrolny, który oddziela mnie od szerokich dolin Hindukuszu. Kiedy dostrzegam na wpół zrujnowaną budowlę, w której drzwiach stoi znudzony żołnierz, przypomina mi się piosenka Jacka Kaczmarskiego *Encore, jeszcze raz*:

*Za oknem posterunku nic nie dzieje się,
czego bym umiał dopilnować, albo nie.
Dali tu stertę starych futer i człowieka,
ażeby był i nie wiadomo na co czekał...*

Najwyraźniej ten strażnik czekał właśnie na mnie, bo na widok obcego w towarzystwie dwóch tragarzy i osła wyraźnie się ożywia. Podaję mu ręcznie wypisaną przepustkę, licząc na to, że ta formalność nie potrwa długo. Strażnik, który przed chwilą wyglądał na zaspane go, sprawia wrażenie, jakby coś go zmartwiło. Przeszępuje nerwowo z nogi na nogę, pocierając dłonią spocone czoło. W końcu wyrzuca z siebie serię słów, jakby strzelał nimi z karabinu maszynowego. Nie brzmi to dobrze, więc przyjmuję taktykę zdezorientowanego turysty, który nic nie rozumie. Stukam palcem w przepustkę, potwierdzając stanowczym tonem, po polsku, ważność dokumentu.

Pomimo wyraźnych znaków, jakie daje mi posterunkowy – pocieranie palcami wyciągniętej dłoni – tym razem obeszło się bez łapówki.

Dochodzimy do mostu nad rzeką Kazi Deh, przed domem Afijata skręcamy w lewo, mijamy nieliczne gospodarstwa i kierujemy się w górę doliny, zostawiając za sobą szumiące topole i wioskę, w której zatrzymał się czas.

*

Dolina wyraźnie się zwęża, a pola uprawne zastępują zielone pastwiska. Na kępie świeżej trawy przysiadły kobiety ubrane w typowe dla Korytarza Wachańskiego długie szaty w różnych odcieniach czerwieni, na głowach mają okrągłe czapki, a na ramionach chusty

chroniące przed słońcem i przenikliwym wiatrem. Prowadzą ożywioną rozmowę, doglądając jednocześnie stada pasących się kóz i owiec. W pobliskim kamieniołomie grupa mężczyzn właśnie wydobyła kształtne kawałki skał. Będą idealnie nadawały się na nowy chun.

Szybko opuszczamy tereny przychylne człowiekowi. Szeroka droga zmienia się w wąską ścieżkę, a zamiast zielonej trawy stoki zaczynają pokrywać kamienie. Mijamy zgarbionego pod ciężarem sterty chrustu Wacha w zakurzonym perahan tunbanie. Przystaje na chwilę, podpierając się drewnianą laską, i nas pozdrawia. Najwyraźniej nigdzie mu się nie spieszy. Odnoszę wrażenie, że im bardziej oddalamy się od cywilizacji, tym wolniej płynie czas.

W miarę naszej wspinaczki rzeka zmienia się w porywisty górski potok drążący skały i niosący muł i kamienie. Na stromych traversach osioł przystaje i odmawia współpracy. Naturalny instynkt podpowiada mu, że nie powinien zapuszczać się na te niebezpieczne górskie tereny. Nawid lub Nirob przywołują go wtedy do porządku, wymierzając grubym drągiem kilka razy w zad. Bywają miejsca, gdzie wąwóz się obrywa, tworząc stromą, niemal pionową ścianę, więc żeby obejść niebezpieczny teren, musimy wspiąć się bardzo wysoko. Odbijający się echem huk potoku nie pozwala nam zapomnieć o nieokiełznanej sile przyrody. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby któryś z nas stracił równowagę lub osunęła się ziemia.

Mimo iż klimat jest tu surowy, przedgórza Hindukuszu porastają gdzieś trawa, bylica, wierzba karłowata i krzewy. Jak wspomniał Sayed, w takich miejscach znajdują się zagrody dla zwierząt zbudowane z kamieni. Wysoki mur pozwala zebrać inwentarz w jednym miejscu i chroni przed drapieżnikami. Budulca jest tu pod dostatkiem i nawet nie potrzeba zaprawy murarskiej.

Przechodzimy przez pola uprawne położone daleko od wioski. W tak górzystym terenie na wysokości około 3000 metrów nad poziomem morza nawożenie i nawadnianie są nie lada wyzwaniem. Zastanawia mnie, dlaczego człowiek postanowił uprawiać ziemię na takim odludziu. Przystaję na chwilę i widzę oczami wyobraźni pola czerwonych maków falujących na wietrze. Rolnicy uprawnymi

dłońmi z ponacinanych zielonych makówek metalową szpachelką zbierają wysuszony sok mleczny.

Narkotyczne właściwości soku makowego znane są od dawna. Niegdyś na polskiej wsi babki stosowały wywar z opium jako środek przeciwbólowy, a matki przed pójściem do pracy w polu urywały zieloną makówkę, zawijały w kawałek szmatki i dawały dzieciom do ssania. Wisiał potem taki odurzony bobas w hamaku rozciągniętym między dwoma kijami na miedzy i „kontemplował rzeczywistość”.

Badachszan od dawna kojarzony jest z uprawą maku na dużą skalę. Uważa się, że masową produkcję i konsumpcję opium zapoczątkowali handlarze z sąsiadujących z Wachanem Chin. W raporcie *Afghanistan, Wakhan Mission Technical Report* z 2003 roku, przygotowanym przez Program Środowiskowy Organizacji Narodów Zjednoczonych, można przeczytać, że w celach komercyjnych w Badachszanie mak uprawiają głównie sunniccy Tadźycy i Uzbegy w zachodnich dystryktach. W Wachanie można także spotkać mniejsze poletka, ale uprawiane na potrzeby gospodarstw domowych. Oprócz pozyskiwania mleczka do produkcji opium i heroiny mak od pokoleń wykorzystuje się do wytwarzania oleju, a nawet mydła. W Korytarzu Wachańskim nie samą uprawę, lecz narkomanię postrzega się jako duży problem wśród ludności zarówno wachańskiej, jak i kirgiskiej. Skłonność do częstego sięgania po opium w połączeniu z biedą, ubogą dietą, niesprzyjającym klimatem oraz izolacją pogarsza i tak trudną sytuację społeczną mieszkańców tego zapomnianego przez świat skrawka ziemi.

*

Wąska kamienista ścieżka zaczyna się rozszerzać i prowadzi nas w dół, na ziemię bardziej przychylną człowiekowi. Między głazami z rzadka zaczynają pojawiać się jałowce powyginane tak, jakby przyniatała je do ziemi silna ręka olbrzyma. Schodząc stromym stokiem, zauważamy, że piach i kurz zastępuje soczyście zielona trawa. Nawet osioł przyspieszył kroku, widząc, że zaraz będzie mógł pożywić się po męczącej wędrówce.

Wychodzimy na otwartą przestrzeń, która aż kipi od bujnej roślinności. Ścieżka już nie jest górską percią, lecz alejką z obu stron wyłożoną kamieniami. Mam wrażenie, że wkraczamy do ogrodów wachańskiego szacha. Jeszcze chwila, a na powitanie wyjdzie straż pałacowa i zaprosi na kolację z kuskusem z dodatkiem szafranu i ze świeżymi daktylami. A my przy dźwiękach rabaabu i tabli będziemy podziwiać pokaz pałacowych tancerzy.

Ten magiczny zagajnik jest jednak pusty. Zamiast świeżych daktyli znajdujemy krzaki dzikiej czarnej porzeczki. Zostawiamy osła i rzucają się do pałaszowania darów natury. Wpycham do ust całe kiście, jakby to były najsmakowitsze owoce na ziemi. Nawid jest bardziej wybredny. Podchodzi do mnie z ułamaną gałązką, na której wiszą długie grona dojrzałych owoców. Słodycz i gorycz rozplývają się w ustach.

Chcę zaszyć się w gęstwinie i znaleźć więcej owoców, lecz Nawid chwytą mnie za ramię. Odwracam się zdezorientowany i widzę, że wskazuje wyznaczoną okruchami skalnymi ścieżkę. Momentalnie przypominam sobie słowa Sayeda: „Kilka lat temu w szerszych partiach oznakowano trasę kamieniami, żeby można było tamtędy przejść, omijając miny”. W tym miejscu łączą się rzeki Mandaras i Kazi Deh. Wracam szybko na szlak i zauważam, że osioł nawet nie ruszył się z miejsca. Dobrze, że posłusznie czekał, bo inaczej podzieliliby los wielu zwierząt, które podczas wypasu lub transportu przyczyniły się do częściowego rozminowania doliny.

Przed wojną ze Związkiem Radzieckim łańcuchy górskie wzdłuż rzeki Mandaras były intensywnie eksplorowane przez wyprawy z różnych stron świata. To właśnie tutaj, na wysokości 3300 metrów nad poziomem morza, na końcu doliny znajdowała się baza Japończyków, którzy jako pierwsi w 1960 roku zdobyli Noszak. Początkowy plan zakładał, że alpińscy z Kraju Kwitnącej Wiśni połączą siły z wyprawą z Polski pod kierownictwem Bolesława Chwaścińskiego. Negocjacje rozpoczęły się już w miejscowości Iszkaszim, lecz ostatecznie Japończycy, bojąc się, że tracą aklimatyzację i że załamię się pogoda, postanowili sami rozpocząć atak na szczyt.

Teraz cała społeczność z Kazi Dehu i okolic odczuwa skutki wojny między talibami a Sojuszem Północnym, która trwała w latach dziewięćdziesiątych. Być może zaminowanie tego terenu było jedynym sposobem na zatrzymanie ekspansji bojowników islamskich w Badachszenie. Jak do tej pory mniejszości izmailickie cieszą się w Wachanie wolnością religijną, chociaż sytuacja w pobliskim Zebaku niejednemu spędza sen z powiek.

Nawid bardzo dobrze się orientuje, gdzie mogą być miny, i stara się bezpiecznie przeprowadzić nas przez zagajnik. Schylam się i przeciskam przez bujną roślinność. Przejście zagradzają kolczaste gałęzie dzikiej róży, wczepiają się nam w ubrania i zostawiają zadrapania na dłoniach. Niecenzuralne słowa same cisną się na usta. Słyszę, że Nirob mruczy coś pod nosem, kiedy osioł najwyraźniej nie ma ochoty ładować się w krzaki. Biednego zwierzaka motywuje walenie drągiem po grzbiecie, ja muszę sobie wmawiać, że nie jest tak źle i że to przedsmak tego, co natura ma dla mnie w górach.

Wychodzimy z chaszczy. Wyciągam z koszulki wczepione w materiał patyki, poprawiam chustkę na głowie, prostuję plecy i... moim oczom ukazuje się piękny widok. Popołudniowe słońce zalewa ciepłym światłem zbocze doliny, poskręcane drzewo rzuca długi i głęboki cień na drewniany most, a w dole pieni się i huczy potok Mandaras. Przypominam sobie opowieść Sayeda o osle, który podczas budowy tego mostu wszedł na minę.

Na drugim brzegu potoku Nawid wypatrzył dobre miejsce na nocleg. Chętnie odpocznę pod biało kwitnącym krzakiem dzikiej róży. Nie zdążyłem zdjąć plecaka, a Nawid już odwiązuje bagaże i zrzuca je na ziemię, podczas gdy Nirob układa równolegle dwa podłużne kamienie na palenisko. Szybko zbieramy patyki, korzenie i suche kępy trawy. Dosłownie wszystko, co da się spalić. Nie ma co wybrzydzać, bo na tej wysokości nie znajdziemy grubszych gałęzi. Na kamiennym palenisku ląduje mocno okopcony czajnik, którego pokrywka została dosztukowana kawałkiem blaszki i poskręcanym drutem. Chłopak pociera zielonym łebkiem zapalki o wytartą draszkę i po chwili słyszę trzaskanie zajmującego się ogniem chrustu.

